

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 31 lipca 1909 r.

№ 31.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

20

Powieść historyczna.

Pani podkomorzyna już do końca listu dobiegała, już coraz wolniej czytała, już układała sobie, ile z tego do opowiadania będzie, gdy niespodzianie na taką nowinę trafiła, że strzymać się nie mogła z chęcią powiadomienia o niej Emilki. I bez ociągania dźwignęła się na lasce, zgrnęła listy i ruszyła żwawo do komnatki hrabianki.

— Patrzże, moje dziecko! — zawołała podkomorzyna od proga. — Nie przeszkadzam ci? To dobrze. Daj, niech usiądę. No, szafaput, zawadyaka! List przyszedł od Dowgiałłowej! Rozmaitości pisze bez liku — ale żeby takim był szafaputem nic dobrego, nie spodziałam się, nie spodziałam.

— Kto, cioteczko? — zagadnęła hrabianka, przysuwając stołeczek pod nogi podkomorzyny.

— No, ten twój Grużewski!

Emilia uśmiechnęła się swobodnie.

— I cóż nabroił?

— Imaginuj sobie: jakiegoś majora w zajeździe tak pokiereszował, że Dowgiałłowa do nas z Siesik pisze!.. Masz, blisko ćwiartka o kawalerze Grużewskim!

— Trzebaby wiedzieć, o co poszło!

— I wiadomo — o jakąś tam pannę.

— O pannę?

— Możesz sobie wystawić, co to musi być za panna, że o nią do bijatyki w karczmie dochodzi. Nie — nie, tego nadto. Lubiłam go nawet, bo mi się zdawał dość układnym, ale teraz niech mi się nie pokazuje na oczy. Tyś każdego broń gotowa. Mniemasz, widzę, że to lekka sprawa. Czytaj! Dowgiałłowa wstawia się do nas, żebyśmy instancję wniosły przez którego z generałów znajomych do Wilna. Kawalerowi grozi okrutna odpowiedzialność.

Twarzyczka Emilii spoważniała.

— Więc to zajście aż tak dalece...

— Zobacz, kochanie, przekonaj się.

Hrabianka przebiegła szybko wskazany sobie urywek pisma.

— Ale młodzieniaszka nie żal. Niechby go sobie i skarali, jeno matki żal. Lecz cóż my potrafimy — nic!.. Dawniej można byłoby przez Kabłukowa...

Podkomorzyna westchnęła. Emilia prostowała machinalnie zagięty rożek papieru.

— Niefortunnie się skończyło z Kabłukowem.

— Inaczej stać się nie mogło.

— Tak i nie, moje kochanie — zauważyła podkomorzyna tonem lekkiej wymówki. — Nigdy mi nie powstał zamysł, abyś miała zostać pa-

nią Kabłukow czy też panią Klemeńko, jeno wolałabym, abyś polityczniej rekuzy udzieliła. Żołnierzysko sam by się spostrzegł na własnej śmieszności i przyjaźńby zachował. A przecież i Klemeńko i Kabłukow wiele dobrej woli nam okazali...

— Dlatego miałam sobie za obowiązek być z nimi zupełnie szczerą.

— Więc starczyło powiedzieć i temu, że nie wzbudził w tobie sentymentu, że nie rozporządzasz sobą. I te przyczyny byłyby szczeremi. Dorozumiałby się sam, że, jako polka, miałaś i trzecią jeszcze rację do odrzucenia maryażu. Ty zaś tylko na tę jedyną wskazałaś.

— Zdała mi się najważniejszą.

— Bez wątpienia, lecz o cóż szło?... o odrobinę dyplomacyi. Wszak zniewoleni jesteśmy do obcowania z nimi, wszak w ich mocy jest oszczędzić nam niejednej przykrości, nie jednego upokorzenia. Zważ, ile spraw granicznych mamy z dyneburgską fortecą, ile razy generał Klemeńko dobył nas z kłopotu. Nie dla siebie ich pragnę. Cale mi nie tęskno, zaciszniej nawet bez widoku mundurów. Ale, patrz, bodaj teraz. Dobrze byłoby tego szafawilę uchronić od kary, a matce też oszczędzić.

Hrabianka nic nie odrzekła.

Podkomorzyna przesunęła ręką po czole.

— Możeby do Dallwiga?

— Do Dallwiga..

— Jestem pewną, że uczyni, co w jego mocy. Wstawi się chętnie do Klemeńki, toć jego zwierzchnik... Choćby do Schizmana się odwoła..

— Prawdopodobnie.

Podkomorzyna spojrzała uważnie na rozstargnioną twarzyczkę Emilii.

— Dallwig dawno nie był.

— Nie był — powtórzyła bezbarwnym tonem hrabianka.

— Zdawało mi się, kochanie, że nie jest ci to obojętnem.

Emilia poruszyła się niespokojnie. Podkomorzyna wyczekała chwilę, poczem dodała z intencją.

— Mogłabyś napisać kilka słów.

— Nie sądzę. Pismo z Liksny gotoweby zaszkodzić karierze barona..

— Mam przekonanie, że, gdybyś jeno chciała, Dallwig wyrzekłby się tej, jak ją zwiesz, kariery.

— Nie, cioteczko, takiej ofiary nie godziło by mi się żądać.

Podkomorzyna westchnęła z cicha i dźwignęła się z fotela.

— Nie nalegam, nie spieram się. Choć szkoda, szkoda mi go!.. Nie bierz za złe, iż tego przedmiotu tknęłam, lecz wynika on z pragnienia twego dobra, twego szczęścia. A czas, kochanie, o tem myśleć, czas sobie stworzyć własne ognisko. Nie z samolubstwa powiadam, bo radabym cię zawsze mieć przy sobie. Nieboszczka Ma-

rynia niegdy układała sobie twój mariaż z Cezarym. Nie nalegałam, boć między rodzono-stryjecznymi związek za blizki, a przytem postzegłam, że jeno braterski sentyment was łączy. Więc tego mi nie żał, zresztą pan Cezary coś nadto hula po szerokim świecie. Uczy się, studjuje? Wiem, wiem, zawsze go w obronę braćgotowa. Niechby już przywiózł do Dusiat te zamorskie rozumy, niechby ojcowizna nie zostawała na łasce ekonomów. Udręczyłam cię, moje dziecko. Nie dopuszczaj smutnych myśli. Życie całe przed tobą, cały świat przed tobą! Wracam do czytania listu. Mnóstwo takie nowin, że przepomniałam! A trzebaby jednakże coś dla tego zawieruchy. No, no, awanturnik kawaler. Daj, niech cię ucałuję. Niczem nieboszczyk Piotr Żaba! Ot byłby kompan dla imć Gruzewskiego! Ale wypada coś... Pomówimy przy wieczery. Idę już sobie. A... są i do ciebie dwa listy...

— Do mnie? — szepnęła hrabianka, biorąc z rąk podkomorzyny pisma.

Ta ostatnia szurgnęła nogami w stronę drzwi i dodała cicho.

— Tak, a z tych o jedno za wiele.

Emilia, nie bacząc na tę uwagę, roztworzyła szybko pierwszy list i, nim w głębi korytarza unilkł miarowy stukot laski oddalającej się podkomorzyny, już zdołała odczytać go, wchłonąć i już śladami słanych myśli pomknąć. Łatwem

to było zadaniem. List ten pochodził od Marysi Mohlówny, ukochanej siostry matczynej, a Emilii najmilszej powierniczki i przyjaciółki. List ten do tajników serca hrabianki sięgał, przeczuciem ogarniał wszystkie jej tęsknoty. W jednym tylko grzeszył, gdy słowa otuchy niósł, gdy krzepić usiłował, gdy samemu sobie gwałt zadawał, gdy sprzymierzać się chciał z podkomorzyną, z Dowgiałową, z Gasparami.

Emilia atoli wybaczała Mohlównie tę zdradę niewinną. Wybaczała tem skwapliwiej, że wyrazi, króremi siostra matki naklaniała ją do życia światowego, do małżeństwa, do pójścia utartymi ścieżkami posażnej panny, do wyrzeczenia się smętków, które jeno zatruwają, jeno dręczą, do pojednania się z rolą, wskazaną przez los damie, dziedzicze możnego rodu, kobiecie, że wyrazi te brzmiały zawsze tak nieśmiało, tak chropowato, jakby własnym przeczyły głosem, jakby własnego sromały się znaczenia.

Mohlówna była tym medykem uczonym, który wszystkie odgadł cierpienia, ogarnął całą mękę chorego, lecz który, nie widząc ratunku, z niewiary własnej próbuje wiarę dla zbolełego wykrzesać.

Szczęście! Może-ż o szczęściu roić ta: której uśmiech, od lat dziecinnych gasiły łzy matki? Może-ż jednać się z losem jego ofiara? Może-ż poddać mu się istota, zatruwana od poczęcia swego buntem na niegodziwość jego ślepych wyroków?..

DCN.

Schwytana nimfa.

Nadaremnie się w nimfy zakradając laski,
Faun potajemnie w sadzie nastawił potrzaski,
Wiedząc, że przyjdzie rankiem kraść mu jabłka złote...
A skończywszy zdradziecką ustawiać robotę,
Przyczał się ciekawie za krzakiem agrestu,
Łowiąc uchem kosmatem, czy z dała szelestu
Kroków nadobnej nimfy rychło nie usłyszy...
Jakoż wkrótce krzyk ostry przerwał chwilę ciszy —
I za firanką liści i splełanych wrzosów,
Błysnęło białe ciało i zwój rudych włosów,
Rozsypanych jak strumień roztopionej miedzi.
Widząc, że się napróżno z pęt uwolnić biedzi,
Faun wypetł z swej kryjówki, i śmiech kryjąc pusty,
Cierpkie grona agrestu bezżębnemi usty
Zuł, siadłszy na murawie u stóp tej, co w blasku
Swej urody bezsilnie wita się w potrzasku..

Zofia Dębicka.

Spowiadam się...

Spowiadam się chmurom, co łzami dżdzu płaczą
Nad ziemią w mgieł szarych żalobie,
I wichrom, co skargę zawodzą tułaczą
Na dzikim, samotnym gdzieś grobie...

Spowiadam się burzom, co huczą junaczo,
Ryk grozy roznosząc po globie,
I gwiazdom, co z niemą w dal patrzą rozpaczą,
I błądy księżycu — i tobie...

I wiem, że jeśli popełnił przewiny —
Któż z ludzi bez grzechu jest przecie? —
To jednak mnie ziemia w swój uścisk matczynej

Obejmie — jak syna, jak dziecię;
I wichry i burze, z chmur rzeszą tułaczą,
Rozgrzeszą mnie z win — i przebaczą...

Wiktor Dzierżanowski.

MARZYCIEL.

27

— To do widzenia, panie Józiu... do widzenia...

Chciała go pocałować w rękę.

— Co cię dzisiaj, u dyabła, opętało!—zachnął się niecierpliwie.

— Pewnie, że mnie opętało... pewnie! — roześmiała się dziwnie, nie mogąc znaleźć klamki.

— Co tobie? Jesteś jakby nieprzytomna!—zaniepokoił się o nią i otworzył drzwi.

— Tak... w głowie mi się trochę kręci... musiałam zaczadzić... gorąco...

Trzasnęła naraz drzwiami, rzucając mu się na piersi, objęła go za szyję i całowała namiętnie, całą mocą, całą potęgą długo skrywanej miłości, całą rozpaczą rozstania.

— Franiu! dajże spokój. Jeszcze kto wejdzie!—bronił się niemile zdziwiony.

— Chciałam tylko powiedzieć, że pana strasznie kocham... i... żeby się pan nie zadawał ze Soczkową—wyszeptwała gorączkowo, całując go coraz ogniościej.

— Wściekłaś się dzisiaj, czy co?

I napróżno usiłował się wyrwać z oplotu jej rąk.

— Niech mnie pan skopie... niech mnie pan potem wypędzi... ale muszę pana ostrzedz... Mnie pana strasznie żal... Pan wie, kto ja jestem... Wszyscy też wiedzą, że jestem taka zwyczajna kolejarzka małpa... Ale Soczkowa jest sto razy gorsza, tysiąc razy gorsza... Pan ani się domyśla! Ona ma przecież męża, ma dom, wszyscy ją uważają za coś pocziwego, prawda? A ona chodzi do oficerów! Mogłabym w sądzie zaświadczyć! Sama widziałam, jak przychodziła po nią faktorka od takich rzeczy! Niech się pan spyta starej Gołdy! Ona pana jeszcze czemś takim obdarzy, że i Łazarz nie pomoże! Przecież to taka sołdacka klępa... A za coby to się tak stroiła! Niech się pan na mnie nie gniewa, mój złoty, mój święty... Jabym duszę dała za pana, jabym

już nie wiem co... — bełkotała nieprzytomnie, ledwie już dysząc ze wzruszenia.

Dzwon stacyjny znowu zaczął i odezwała się nadkonduktorska gwizdawka. Frania oderwała się od niego i pędem pobiegła do ruszającego pociągu.

Józio tak był zaskoczony i oszolomiony tą niespodziewaną sceną, że nawet nie zdążył wyrzucić na odchodzący pociąg.

— Ale dlaczego mnie ostrzega przed Soczkową?—myślał silnie za-intrygowany.

Nie mógł jednak tego rozplątać; zaś do oskarżeń, jakie usłyszał, nie przywiązywał najmniejszej wagi, dobrze bowiem wiedział, że na całej długości kolei plotka grasuje bezustannie, że na wszystkich stacyach niema ani jednej kobiety, którejby po sto razy nie obmówiono, nie oszkalowano gruntownie i nie zmieszano z błotem; że zawsze, wszędzie i na każdym miejscu wszyscy obgadują wszystkich na zabój, bez litości, ni miłosierdzia, jak zresztą się to dzieje na całym obszarze Polski. Więc się tylko uśmiechnął pobłaźliwie na zjadliwe słowa Frani, zarazem bardzo starannie wycierając twarz po jej namiętnych pocałunkach.

— Wyśliniła mnie jak cielę, ale chwala Bogu, że sobie pojechała!

Odetchnął z głęboką ulgą i zabrał się do pakietu, przyniesionego przez służącą.

Był to sztambuch panny Ireny, która w załączonym liście prosiła go, aby wpisał do albumu jaki aforyzm lub coś podobnego.

Strasznie mu się nie chciało, ale tak uprzejmie prosiła w liście, aby sztambuch przyniósł jej sam, gdyż musi jeszcze dzisiaj odjeżdżać, że, rad nierad, jął machinalnie przewracać sztywne kartki, wodząc znudzonym wzrokiem po niezliczonych wierszykach, aforyzmach i sentencyach, pisanych przeróżnymi kolorami atramentów. Dużo było tej

sieczki, tak wiele, że zaledwie ślizgał się przez nią oczami, śpiesząc do końca. Naraz ożywił się niezmiernie. Na jakiejś karcie, w wieńcu nalepionych szarotek, czerniały bujnem a leniwem pismem takie wiersze:

„Dobranoc, kwiecie różany!
Odwróć się czem chcesz do ściany...
Dobranoc!..”

I podpisane były inicjałami „K. T.”

Zaś o parę stron dalej widniał aforyzm St. Przybyszewskiego:

„Trudno żyć nieprzyzwyczajonemu”.

A u dołu karty jakaś zajadła feministka napisała:

„Nawet najlepszy mąż jest jeszcze najgorszym”.

Przeczytał sztambuch do końca i, nadzwyczajnie rozbawiony, zaczął w nim pisać:

„W życiu to jak w pociągu—każdy chciałby się przejechać na gapę...”

„Świat to wielka rozjazdowa stacja: ludzie pędzą ze wszystkich stron i we wszystkich kierunkach, a tylko maszyniści muszą uważać na haltsygnaly”.

„Kasyer jest jak Bóg—widzi tylko ręce wyciągnięte do siebie”.

„Dla kolejowego kasyera człowiek się tylko składa z rąk, biletu i bagażów”.

Podpisał się z zamaszystą zuchowałością i poleciał na górę do panny Ireny.

Skrzywiła się nieco na te kolejarzkie aforyzmy, ale usilnie zapraszała, by został na kolacyi, gdy naraz menażerya zawiadowcy podniosła taki wrzask, że chwycił za czapkę.

— Za nic w świecie, jeszcze mi życie miłe.

— To niech pan pozwoli do mnie... tam cicho.

— Dziękuję, ale za żadne skarby nie wejdę do tego straszego pokoju!

— Dlaczego? Nie rozumiem!

Zaczęła gwałtownie szukać koło siebie binokli.

— Bo w tym pokoju zginął jeden z moich przyjaciół!

DCN.



- WALGIERZ. Nie drżj. Zaufaj mi.
HELIGUNDA. Iście
Ufam ci... Tyś mą tarczą... Lecz w ciemne wieczory
Złe duchy krążą...
- WALGIERZ. Ja ci złe duchy odpędzę.
Wierz mi—bogowie przędą naszych losów przędę...
Kto sobie przeznaczony—nie dozna nic złego,
Gdzie dusze się kochają—bogowie ich strzegą.
- HELIGUNDA. Wierzę ci. Spokój nowy w sercu mem
[zbudzony—
Jutro popłynę dalej...]
- WALGIERZ. Gallijskie legiony
Przyjmą nas—a tam kapłan złączy nasze dłonie
I walczyć pójdziem w świeżej zaślubin koronie.
- HELIGUNDA. O drogi mój, Walgierzu!
- WALGIERZ. Ucałuj, ptaszyno.
Jak fala nam godzina przeszła za godziną—
Wkrótce świt się zasrebrzy. Uśnij, drogie dziecko—
Ja czuwam. Zbudzę ciebie o błękitnym świecie.
- HELIGUNDA. Dobranoc ci.
- WALGIERZ. Dobranoc!
(*Słychać tętent konia.*)
- WALGIERZ. Co za tętent koni?
Kto idzie?—Czy to odgłos jakowej pogoni?
Kto idzie?
(*Wchodzi OLDRZYCH.*)
- S C E N A III.
- OLDRZYCH. Jam jest Oldrzych, jam jest rycerz czeski.
Walgierza szukam zdrajcy, co moją dziewicę
Porwał w zamęcie nocy.
- WALGIERZ. Niech cię grom niebieski
Powali! Jam jest Walgierz!
- OLDRZYCH. Niech cię błyskawice
Oślepią!
- HELIGUNDA. Czego żądasz, Oldrzychu, ode mnie?
- OLDRZYCH. Ciebie żądam. Tyś moja. Jam ciebie ta-
[jemnie
Umiłował! Kochanką byłaś mi w marzeniach.
- HELIGUNDA. Kłamiesz! Nawet i we śnie — w nocy
[srebrnych cieniach
Nie schodziłam do ciebie. Senne me widziadła
Szły tam...]
- OLDRZYCH. A bodaj dusza jego w noc zapadła!
Czy kochasz, czy nie kochasz—mą rozpaczą krwawą,
Miłością moją wielką mam do ciebie prawo.
Dzień i noc ja o tobie marzyłem jedynie —
W każdym miejscu, w dniu każdym, o każdej go-
[dzinie
Żyłem myślą o tobie...]
- HELIGUNDA. Myśl twa obłąkana!
Innegom ja znalazła kochanka i pana.
Nie mam duszy podwójnej, podwójnego ciała—
Jedna jestem—do niego ja należę cała!
- OLDRZYCH. Ulituj się nade mną!
- HELIGUNDA. Litość ma nad tobą
Krzywdą będzie dla niego, a dla mnie żalobą.
- OLDRZYCH. Ulituj się!
- WALGIERZ. Rycerzu, śmiesz błagać litości?
- HELIGUNDA. Jak rozsądzić tą sprawę?
- WALGIERZ. Rozsądzić najprościej.
Dwóch nas jest na tej ziemi, Oldrzychu, za wiele.
- HELIGUNDA. O, błagam was—nie czyńcie, jak nieprzy-
[jaciele.
Oldrzychu, ja ci siostrą będę, bądź mi bratem!
Nie wylewaj krwi brata... nie bądź sobie katem.
Ach, tyle krwi popłynie, tyle krwi popłynie—
- Tyle krwi, aż żrenica ma w szkarłacie ginie...
Stójcie!..
- OLDRZYCH. Wybacz mi, Hildo. Sprawa to surowa.
Jeden z nas musi zginąć. Niech mogiła świeża
Rozstrzygnie, czyją będziesz.
- WALGIERZ. Na nic puste słowa.
Miecz wyciągnij, Oldrzychu!
- HELIGUNDA. Bóże, chroń Walgierza!
- OLDRZYCH. Czyjmyś tedy o pannę.
- WALGIERZ. Dalej, miecz do góry!
(*Rozpoczyna się walka.*)
Cóż to? Widzę, Oldrzychu, walczysz, jako ciury.
- OLDRZYCH. Nikt się nie modlił za mnie—jak modlił za
[ciebie.
- WALGIERZ. Niezabawem też Boga ujrzysz w samym niebie.
- OLDRZYCH (*pada.*)
Raniłeś mię! O Hildo! przebacz, ukochana!
Kochałem cię! Ta gorsza zabiła mię rana.
Ale zjawię się—kiedys—wid zaziemskiej siły!...
(*Umiera.*)
- HELIGUNDA. Skonał.
- WALGIERZ. Więc znów tyś moja.
- HELIGUNDA. O Walgierzu miły!
Wierz mi, żal to budować na darniach mogiły
Szczęście własne... Żal mi go...
- WALGIERZ. Stało się. Niech spocznie—
Niech uśnie...]
- HELIGUNDA. W szczęku mieczów słyszałam wyrocznię...]
- WALGIERZ. Wiecznie ci się coś roi, wiecznie coś się
[wróży.
Uspokój się. Kto mieczem sprawuje rzemiosło,
Znajdzie grób. Taki los nasz.
- HELIGUNDA. Patrz, fala się burzy—
Słychać, jako na wodzie żwawo pluszcze wiosło.
- WALGIERZ (*do strażnika.*) Hej ludzie! Czyli można
[już rzekę przepłynąć?
- STRAŻNIK. Już ci świtanie... Komu ginąć, temu ginąć.
Komu w drogę, temu czas... Minęła noc święta—
A oto płyną Renem na ten brzeg książęta.
- S C E N A IV.
- (*Czólnem przepływa i na brzeg rzeki wstępuje
HAGEN w towarzystwie kilku rycerzy burgundzkich.*)
- HAGEN. Walgierz!
- WALGIERZ. Hagen!
- HAGEN. Witajcie! A wy skąd w tym lesie?
- WALGIERZ. Uszliśmy od Atylli, jak ty.
- HAGEN. Stary biesie,
Atyllo, biczu boży, ty przeklęty młocie,
Wprzód zginiesz, zanim w reńskim wykąpiesz się
[złocie.
- A cóż to za młodzieniec?
- WALGIERZ. To mój giermek młody,
Żrenica mego ducha, źródło żywej wody,
Najśłodsze ukochanie, treść mojego łona:
Heligunda cymbryjska, moja naręczona!
- HAGEN. Witaj, o piękna pani. Szczęsny ten wybraniec,
Na którego wejrziałaś. Wszyscy zakładnicy
Tęsknili jak do gwiazdy—do twojej żrenicy.
A toż co? Kto to?
- WALGIERZ. Był ci tu niedawno taniec.
Oldrzych, co też za moją lkał oblubienicą—
Ujrawszy, żeśmy znikli z Atylli namiotów,
Ku zgubie swej dopędził nas tu—pełny grzmotów:
Więc mignąłem mu w oczy krwawą błyskawicą.
- HAGEN. Znany mistrz z ciebie. Jednak szkoda go.
[Młodzieniec

Był to zacny i mężny. Śmierć mu dzisiaj wieniec
Uwiła. Niech śpi...

WALGIERZ. Może też i twoja wina,
Ze przyszła na Oldrycha ta czarna godzina.
Uchodziliśny nocą poprzez ciemne bory,
Coraz to nowe gąszcze i nowe upiory
Spotykaliśmy w drodze. Nakoniec jak sen,
Z daleka nam zabłysnął szmaragdowy Ren.
Chcemy śpieszno popłynąć i być poza rzeką,
A ta dziecina drżała pod moją opieką.
Aż ci tu ludzie twoi puścić mię nie chcieli,
Ze im zakaz przewozić wydałeś surowy—
Ze w noc świętego Jana czynisz jakieś łowy.
Co to znaczy?

HAGEN. To prawda. Dzisiaj się weseli
Hagen z całą Burgundią. Przebłagane bogi!
Odnalazłem zagadkę skarbów moich drogi.
Szczęśliwe były łowy, aż mi Ren się złości—
Słowem prawdy mię olśnił duch kwiatu paproci...
Słuchaj! Tu w głębiach wody skarby niezmierzone—
Bogowie tu je niegdyś stracili w bezdenie
I pod straż je oddali powiewnej syrenie.
Kogo syrena kocha, da mu skarby one.
Tak kochała Zygfrйда. Nibelungi złoto
Przynosiły mu same z przyjazną ochotą.
Zygfrыd zmarł. Jak?—nie pytaj. Zginął — mniejsza

[o to!
Syrena mię nie kocha, choć jej śpiewam pieśni
Nie mniej czarowne od tych, jakie ona śpiewa...
Więc zaklinałem bogi, zaklinałem drzewa
I zaklinałem duszę mchów zielonych pleśni—
I dziś—w noc świętojańską—kwiat paproci świeży
Tajemnicę mi skarbów zaklętych powierzy.

WALGIERZ. Jakież słowo zagadki, jeśli rzecz wypada?

HAGEN. Innymbym nie powiedział, ale wam, rycerze,
Tajemnicę najdroższą z ufnością powierzę.
Łączyła nas niewola! Nieznaną wam zdrada.

WALGIERZ. Więc mów. Na wszystkie bogi klnę ci się,
[Hagenie!

Tajemnicę twą wieczne pokryje milczenie.
Może nie pożałujesz—może ci pomogę—
Przed sobą i za sobą mam niemałą drogę.

HAGEN. Gdy syrena z miłości złota ci nie wskaże—
Strachem ją zmusić można, że pierzchną jej strażę—
Podwodne te rusafki i karły zielone,
Co mają pod swą pieczęć skarby niezmierzone.
A Loreley naówczas zadrży pełna lęku,
Gdy krwawy miecz Atylli ujrzy w cudzych ręku—
Krwawy miecz—czarodziejski...

HELIGUNDA. Ach, ów rdzą pokryty
Miecz, co przyniósł Weneda.

HAGEN. Znacie go.

HELIGUNDA. Spowity
W niewiadomej kryjówce. Lecz o nim niemała
Mówi Ecel, że wielką otoczy go chwałą

Ze mu nad całą ziemią odda panowanie,
Ze padnie przed nim Galia, grecy i rzymianie
I burgundy! Słuchajcie głosu Heligundy—
Bo na was się najbardziej sroży dziś, burgundy!
Wściekłością przepelniony, rzuca się i miota—
I grozi wam zniszczeniem... i porwaniem złota,
Które pod strażą ondyn spoczywa tu w Renie,
A najwięcej na ciebie targa się, Hagenie.

HAGEN. Mówcie, czy nie gotuje owy tytan krwawy
Przeciw nam jakiej nowej wojennej wyprawy?

WALGIERZ. Tak ci jest! Ów przez bogi piekielne wy-
[rosły

Krwawy kat—niby cesarz—liczne miewa posły...
Zdraycy z Galii, Wandale, Rzymianie i Grecy
Stają przed nim ze drżeniem—blizcy czy dalecy.
Był spisek—lecz zawczasu zdraków odsonięto
I ziemia dźwiga jeczczę tę bestyę przeklętą.

HAGEN. Żle go sądzisz, Walgierzu. Ma ci on oblicze
Podwójne. Raz zwierzęce, ni to pies rozżarty,
A raz znowu niezmiernie jakoś tajemnicze,
Jakby rozpaczą własną karmiły go czarty.
Nieraz widzę w nim jeno bydlę złe, okrutne...
Ale czasem ma oko—niby Nicość smutne
I zda się, jakby płakał nad swoją nicością—
I nad złem—i nad bogiem—i nad czerwonością
Rozlanej krwi. Czasami widziałem w nim boga.

HELIGUNDA. Bóg to nocy, zniszczenia, co się sam po-
[żera.

Ale my przeciw niemu staniam jak załoga
Bóstw życia, które wiecznie trwa i nie zamiera—
I kwitnie pełne wiosny i słońca promieni.

Ha! może się i przez nas krew tu wystrumieni...
Ale choć serce boli—niechaj krew popłynie.

Mnie w kłotysece ponure znańczyły boginie
I mówiły: Ptaszyno, idź! Choć krwią obłana,
Zwycięzysz kochającą zawsze i kochana.

Więc mówię wam, burgundy, wstańcie—i na czatach
Trwajcie—bo oto idą w krwią splamionych szatach,
Zbrojne w strzały zatrute i żelazne miecze—

Wici hunnów! O, widzę—krew szeroko ciecze!
Zwołajcie ludy franków, harrów i teutonów,
I turyngów i fryzów! Niech legion legionów
Stanie tu. Niechaj czuwa, aż przyjdzie Atylla—

Miecz zaklęty z nim będzie. Bacznosc! Jedna
[chwila,

A gromy błysną!

WALGIERZ. Pani, widzę—znów ci dusza
Rośnie w jasnowidzeniach.

HELIGUNDA. Czasem mi wybucha
Taki szal, jakbym bogów czuła w sobie ducha.
My do Galii. Tam pójdzem wołać Aecyusza.

HAGEN. A niechaj także czuwa naprzeciw wrogowi.

WALGIERZ. Żegnaj, żegnaj! Nam w drogę czas.

HAGEN. Bywajcie zdrowi!

KONIEC.

Zygm. Michałowski.

SAMOBÓJSTWO POETY.

Pewien młody a smutny poeta postanowił (wyrażając się poetycznie) odejść w krainę Zapomnienia, co w tłumaczeniu na szarą dziennikarską prozę równa się: strzelić sobie w łeb.

Gdyby prawa logiki obowiązywały wszystkich (nawet i poetów!) w równej mierze, jak obowiązują przepisy policyjne (tym i poeci podlegają muszą—przeważnie w długie, ciemne a pijane noce)—możnaby poddać ten śmiertelny wniosek młodego a smutnego poety krytycznej analizie logicznej

i szukać równie śmiertelnych przesłanek, poprzedzających wniosek.

Ale logika z policją, a tem bardziej policja z logiką, nie tylko nie mają pomiędzy sobą nic wspólnego, lecz nawet zupełnie otwarcie oddzieliły się chińskim murem antagonizmu, z którego szczytą się wzajemnie.

Zostawmy wreszcie cyrkuly, dyrekcyjne i Arystotelesa w spokoju!.

Dość, że pewien młody poeta postanowił strzelić sobie w łeb. Bo był smutny. Nie zawsze młodość jest sym-

bolem wesołego i bezchmurnego życia. Czasem... Mniejsza zresztą o wody! Jestto fakt, równy najelementarniejszemu aksjomatowi z racji swej codziennej dotykliwości i namacalności.

Ale smutek młodego poety był nieco odmienniejszy od zwykłego szarego smutku ludzi małych. Nie miał swego źródła w podartych butach, zastawionym zegarku (o, gdyby wszyscy poeci mieli zegarki, które możnaby zastawiać!), lub pustym żołądku. Nie nie! Młody poeta był idealnie smutny

Miał smutną duszę. Bo była samotną.

To tylko nietzscheański Zaratustra mógł wołać: „Z miłością twą i twórczością twą idź do samotni, o bracie mój!”... Zaratustra (choć także był trochę poetą) bardzo mało wspólnego miał z ludźmi, ulepionymi „z mułu ziemi”. A i sam Nietzsche umarł przecie w jakichś niemieckich Tworkach, czy Kulparkowie.

Smutek duszy młodego poety początek swój brał właśnie z tej samotności. Potęgowała go i rozszerzała do ostatecznych granic bujna (jakaż mogłaby być inna u poety!) wyobraźnia.

W najbardziej samotnych chwilach, kiedy młody poeta ze smutnie zwieszoną głową przyglądał się tępym wzrokiem leżącej na podłodze jego pokoju skórce od serdelka,—kiedy przyczajone tuż za nim zwątpienie zaczynało z یشcie katowskim spokojem zaciskać mu dokoła szyi dławiące pierścienie chłodnych, obmierzłych rąk,—w takich rozpaczliwie samotnych chwilach ta bujna wyobraźnia zaludniała pusty pokój (naturalnie na czwartym piętrze) poety tłumem zjawiskowych postaci.

Więc byli to listonosze z wypchanymi potężnie pieniędzmi kopertami, lub rój wydawców, tłoczących się jeden przez drugiego, z rękami wyciągniętymi pożądliwie naprzód po rękopis poematu; byli to dyrektorzy teatrów, przelicytowujący się wzajemnie w pogoni za nienapisanym jeszcze, ale już wypieszczonym w myśli dramatem; byli to... Kogo w takich chwilach nie bywało!..

A czasem ta sama bujna wyobraźnia kazała spływać gdzieś z pod sufitu cichutko na podłogę młodej, nieznannej i nienazwanej, a przecie pięknej, nie do wytrzymania pięknej kobiecie.

Zjawia ta podchodziła zazwyczaj do smutnego poety aksamitnie miękkim krokiem (nie wywołując nawet charakterystycznego trzasku w środkowej naderwanej desce podłogi), uśmiechała się z niezmierną słodyczą, przystawała o krok przed nim... I nagle w oczach jej zapalały się błyskawicowe ognie, krew czerwonymi plamami występowała na jej policzkach, rozchylone usta drgały niecierpliwem a nienasyconem pożądaniem. I jednym nagłym ruchem rzucała się na głowę, na piersi, na kolana młodego poety. Roztwarzała na jej spotkanie ręce,—a kiedy zamykał je z powrotem, by przycisnąć zjawę do piersi—czuł, jak nabiegłymi krwią dłońmi uderzał i przyciskał własną pierś.

Zjawia znikła, a młody smutny poeta stawał się jeszcze smutniejszym.

Po zbudzeniu się z jednej z takich halucynacji postanowił palnąć sobie w łeb.

Rozumował:

— Życie, prócz ciągłego i dotąd nigdy jeszcze nie ukojonego pragnienia, nie dało mu nic. Marzyła mu się sława... i pozostała w krainie marzeń. Drukowano tu i owdzie jego krótkie wiersze, dostawał nawet za nie honorarium... a poematu, który od roku tarzał się w kurzu na stoliku, nikt nie chciał wydać. To nie jest

sława... To nie jest życie takie, jakim chciał je mieć...

— Nad kwestyją podartych butów i jedynej łataney na łokciach kurтки nie warto się zastanawiać. Zażadno poziomu temat. A przytym strasznie wyarty, odrażająco szablonowy. Takim tematem szanujący się z godnością poeta gardzi. To nie jest życie...

— Kochał się. Kochał się tyle razy i w tylu rozmaitych znajomych i nieznanych mu zupełnie kobietach. I dotychczas nie wiedział, co to znaczy uścisk ukochanej. Nie ten wstrętny, kupiony za pieniądze, ale ten idealny, czysty w swym żywiołowym wybuchu uścisk, o którym snił tyle lat. Tyle lat!.. Nigdy jeszcze nie poił ust słodyczą, kryjącą się na innych cudownych ustach. A przecie był poetą! (nie ma reguły bez wyjątków!). A przecie pisywał i drukował nawet erotyki, takie okropnie samooszukiwające erotyki! I to miałyby się nazywać życiem! Nie, nie! To nie jest życie!..

— A skoro takie smutne istnienie nie może być nazwane życiem—czemże jest w takim razie? Oczywiście śmiercią. A skoro jest śmiercią—czy nie lepiej będzie umrzeć w dosłownem znaczeniu tego wyrazu? Oczywiście lepiej. Więc...

Postanowił palnąć sobie w łeb.

Ale czytał gdzieś młody i smutny poeta (bodaj, że u Reymonta) historię o jednym samobójcy, co cisnąc rewolwer w ręce, poszedł na pola i lasy. I tak go oczarowała przyroda, że miał przyłożyć lufę do skroni, padł twarzą na ziemię, całował ją i błogosławił życie.

Postanowił więc przed śmiercią zrobić wycieczkę za miasto.

Nie po to, by pójść śladami owego niedosłego samobójcy. O, nie! Po prostu po to, żeby odetchnąć świeżem powietrzem i z wypełnioną niem pierśią odejść w krainę Zapomnienia. Choć to jedno ukradnie życiu, które żałowało mu nawet powietrznego balsamu w jego dusznym pokoju (naturalnie na czwartym piętrze). A przytem... dlaczegoż nie miałby pójść za miasto? Nie ma przecie nic do stracenia. (Łaskawi niedoszli samobójcy czytelnicy wiedzą, że w takich razach nie ma się nic do stracenia, nawet puste portmonetki, albo brudnej chustki do nosa).

Więc młody a smutny poeta postanowił przed śmiercią zrobić wycieczkę za miasto.

Napisał krótką lakoniczną kartkę: „Właściwie nie umieram, bo właściwie nie żyłem“...

Położył ją w widocznym miejscu na stoliku, popieścił parę chwil w rękach zakurzony poemat, napisał na nim: „Do wydania“, zamknął pokój (naturalnie na czwartym piętrze) na klucz—i wyszedł.

Ze spuszczoną głową, chyłkiem przekradał się przez ulice, jak gdyby kryjąc się przed czemś, czy przed kimś, kto mógłby zamierzeniom jego przeszkodzić. Minał rogatek miejską, uszedł jeszcze kilkadziesiąt kroków—i znalazł się w szczerem polu. Rozejrzył się dokoła siebie po zbożach

po drzewach, westchnął kilka razy głęboko, wchlaniając fale świeżego powietrza do piersi—i nie znalazł w sobie ani odrobiny podobieństwa do tego niedosłego samobójcy, o którym czytał historię.

— Ja się zastrzeżę, ja się zastrzeżę!—powtarzał z uporem, niby manifestując swoją wyższość nad tamym, którego w duchu nazywał obrzydliwym tchórzem.

I tak jakoś prędko zbiegł mu czas, że kiedy się obejrzał za siebie i przystanął, zdziwił się, że taki kawał drogi uszedł od miasta, które z daleka zarysowywało się w mgłach wieczornych.

Usiadł zmęczony pod drzewem i wyjął z kamizelki papierosa—ostatniego przed śmiercią papierosa.

Wyjął go ostrożnie, przyglądał mu się z jakąś niewypowiedzianą lubością, okręcał go na wszystkie strony w palcach, przyglądał do ust i odejmował.

Tak chyba tylko prowadzony na szubienicę przestępca żegnać się może z fotografią narzeczonej, mieszkającej o tysiąc mil od miejsca stracenia, jak młody a smutny poeta żegnał się z papierosem.

A kiedy włożył go już na dobre do ust—bezgraniczny uśmiech rezygnacyi opłynął mu całą twarz.

Sięgnął ręką do kieszeni po zapalki. Nie było. Sięgnął do drugiej—to samo. A kiedy schował palce w ostatniej możliwej (należy czytać: nie dziurawej) kieszonce od kamizelki i nie znalazł tam nic, prócz jakiegoś drobnego kawałka papieru—zerwał się na równe nogi.

Malarz, który chciałby go w tej chwili namalować, musiałby doszczętnie połamać sobie głowę nad wyrazem twarzy młodego a smutnego poety.

Nie wiedziałby (bo zresztą i sam poeta nie wiedział tak samo), czy wyraz taki oznacza gniew, pogardę, ironię, zdziwienie czy wesołość, uśmiech radości czy politowanie. Taka była na twarzy poety komplikacja walczących ze sobą nawzajem, sprzecznych uczuć!

Wreszcie zmarszczył czoło i splunął potężnie, a z zaciśniętych ust wyrwało się głośno:

— Psiakrrrrrr!!!..

W pustych kieszeniach samobójcy nie było narzędzia śmierci.

— Więc nie zastrzelić, ale powiesić się chciał! — powiedział sobie przekonywająco. Tak, powiesić na tem oto drzewie!

I spojrzął na dobrodusznie wyraźającą poza jego plecami topolę.

Powiesić się chciałem na szelkach!

Ale zaledwie wymówił w myśli to ostatnie słowo, znowu twarz jego przybrała poprzedni, skomplikowany wielce wyraz. Młody a smutny poeta nie miał szelek...



— Przecież powiedziała pani: „cobądźby to było“.

— Tak jest. Lecz nie chcę już słyszeć więcej.

Rzekała bardzo spokojnie, z postanowieniem.

Wróżbita począł znowu poruszać rękoma, tworzyć nowe desenie na piasku i znowu szybko przemawiać.

— Czy mam go zatrzymać?

— Proszę.

— W takim razie może zechce pani przejść do ogrodu? Za chwilę podążę za panią. Proszę go a-toli nie stropić.

Wstała z przezornością, uniosła suknię rękoma i przesłiznęła się po cichutku na ścieżkę ogrodową. Przez chwilę miała zamiar zaczekać tutaj, obejrzeć się i zobaczyć, co się działo w palarni. Lecz zatamowała tę chętkę i poszła wolnym krokiem, aż przystanąła przed ławeczką, na której godzinę przedtem siedziała z Androwskim. Tu siadła i oczekiwała.

Po kilku minutach ujrzała hrabiego, idącego ku niej. Twarz jego była bardzo poważna; gdy ujrzał ją, twarz ta rozjaśniła się lekkiem uśmiechem.

— Poszedł?—zapytała.

— Tak jest.

Miał zamiar sięść koło niej, lecz ona rzekła szybko:

— Czy nie poszedłby pan pod drzewo dzamelonowe?

— Gdzieśmy siedzieli dziś rano?

— Było to tylko... Tak jest.

— Oczywiście.

— Ale pan jedzie jutro rano. Ma pan dużo jeszcze do załatwienia, nieprawdaz?

— Bynajmniej. Moi ludzie załatwią mi wszystko.

Powstała i poszła w milczeniu, a po krótkiej chwili ujrzeni raz jeszcze niezmierny obszar pustyni, skąpany w słońcu popołudniowem. Patrząc na te rozłogi, Domini znów przyszła do przeświadczenia, iż uroki ich, wymowa ich urosły dla niej. To ciągle *crescendo*, które ją poczyniło prawie trwożyć, stwierdziło się znowu—*crescendo* głosów Sahary. Ku jakiemu zjawowi przepotężnemu dążyło to ciągle *crescendo*, ku jakiej chwale czy grozie? Czuli, że dusza jej była jeszcze jak gdyby zanadto zasnutą dla zrozumienia. Wróżbita miał słuszność. Dokoła tej duszy była zasłona, jak osnucie łona, które ukrywa dziecię niezrodzone.

Siedli raz jeszcze pod drzewem dzamelonu.

— Czy mogę zapalić cygaro?—zapytał hrabia.

— Proszę.

Potał zapałkę, zapalił cygaro i siadł z lewej jej strony, na murze ogrodowym.

— Niech mi pani powie otwarcie—rzekł—czy chce pani mówić, czy milczeć?

— Chcę rozmawiać z panem.

— Bardzo mi przykro, że namówił panią do doświadczenia mocy Alui'ego.

— Dlaczego?

— Bowiem obawiam się, czy nie zrobiło to złego wrażenia na pani.

— Ależ ja nie dlatego prosiłam pana, żeby pan go zatrzymał.

— Nie dlatego?

— Pan mnie nie zrozumiał. Jam się nie ulękała. To tylko mogę panu powiedzieć, nie mogąc podać powodów, dla których go zatrzymałam. Chciałam tylko powiedzieć panu, że nie był to lęk.

— Wierzę... wiem o tem, że pani jest bez lęku—rzekł hrabia z niezwykłym zapałem.— Czy jest pani pewną, że nie zrozumiałem jej?

— Niech pan przypomni sobie refren z pieśni wolnych murzynów.

— Ach, tak—tych czarnych druhów! Lecz ja wiem coś o pani, panno Enfilden, tak jest, wiem.

— Wolę raczej, że to pan wie—pan i pański ogród.

— A z czasem pragnąłbym, żeby i o mnie dowiedziała się pani trochę więcej.

— Dziękuję panu. Kiedy ma pan zamiar powrócić?

— Nie mogę tego określić. Lecz pani nie opuszcza Beni-Mory?

Myśl opuszczenia Beni-Mory dziwnie ścisnęła jej serce.

— O, nie! Jestem tu nadto szczęśliwa.

— Czy pani jest rzeczywiście szczęśliwą?

— W każdym razie szczęśliwszą, niż byłam kiedykolwiek.

— Jest pani na przełomie.

Patrzył na nią oczyma, w których była czułość, lecz naraz oczy te zapaliły się ogniem i zawołał:

— Kraj mój pustynny nie powinien pani sprowadzić rozpacz.

Była zdziwioną jego raptowną gwałtownością.

— Czegom nie chciała usłyszeć—rzekła,—pan wiesz to.

— Nie moja w tem wina. Jestem gotów powiedzieć to pani.

— Nie. Ale czy pan wierzy w to? Czy wierzy pan, że można wróżyć przyszłość z piasku? Jakże to dziać się może?

— Jak się dzieje tysiące rzeczy. W ten sam sposób, w jaki ten człek pustyni może stać w ogniu, obnażonymi stopami na płonących głowniach, z płonącymi głowniami pod pachami, i nie opalić się! W jaki może przeszywać się ostrzami i rznąć nożami, nie powodując plynienia krwi! Ale mówiłem to pani pierwszego dnia przy naszym spotkaniu się; pustynia zawsze czyni mi ten sam dar, kiedy do niej powracam.

— Jakż to dar?

— Dar wiary.

— Zatem pan wierzy temu człowiekowi, Alui'emu?

— A pani... nie wierzy?..

— Mogę jedno rzec tylko, iż wydało mi się to, jak gdyby mogło być przepowiednią. Gdybym tego nie odczuła, nie byłabym go zatrzymała. Byłabym to traktowała, jako zabawkę.

— Uczyniło to na pani to samo wrażenie, jakie uczyniło na mnie. Tak jest, dla nas obojga pustynia ma swe dary. Przyjmijmy je bez lęku. Jest to wola Allaha.

Stanął jej w myśli obraz błędnego pochod. Miałabym być ona jego uczestniczką?

— Jest pan fatalistą, jak arab—rzekła.

— A pani?

— Ja?—odrzekła z prostotą.— Wierzę, iż jestem w ręku Boga i iż miłość doskonała nigdy nie może być uszczerbkiem.

Po chwili on rzekł serdecznie:

— Panno Enfilden, chciałbym panią o coś poprosić.

— Proszę.

— Czy robi pani ofiarę? Jutro wyruszę do wschodzie. Czy zechce pani przyjść tutaj, by rzec mi: „Z Bogiem“ na drogę?

— Oczywiście, że przyjdę.

— Jest pani bardzo dobra. Będzie to dla mnie rzeczą bardzo cenną. A jeśli kiedy będzie pani tą drogą odbywała podróż—drogą na południe—będę prosił Allaha o błogosławieństwo dla pani w tym Ogródzie Allaha.

Mówił uroczyście, prawie z namiętnością, i Domini uczuła, że łzy jej podstępują do oczu. Zatem siedzieli już milcząc, patrzący na pustynię.

I słyszała jej głosy wołające.

Na drugi dzień rano, przed wschodem słońca, Domini zbudziła się, ruszona ze snu niepokojem, który trwał nawet w tem, co się zdało stanem nieświadomym, by nadążyć hrabiemu Anteonemu przed jego podróżą w pustynię. Nie wiedziała, dlaczego on jedzie, lecz czuła, że jakiś wielki wypadek w jego życiu zawisł od spełnienia tego zamiaru, który przedsięwziął, i bez afektacji pragnęła gorąco tego spełnienia.

Zbudziwszy się, zapaliła świecę i spojrzała na zegarek. Z godziny dowiedziała się, że wschód był bliski; wstała tedy odrazu i poczęła swą toaletę. Powiedziała Batuczowi, żeby był u drzwi hotelowych przed wschodem słońca, by jej towarzyszyć do ogrodu, wyjrzała tedy, czy jest on na dole. Cisza, jaka towarzyszy nocy głębokiej, panowała w domu i czyniła ruchy jej, gdy się ubierała, nienaturalnie głośnymi. Gdy miała już kapelusz na głowie i spojrzała do lustra, by zobaczyć, czy dobrze włożony, pomyślała, że twarz jej, zawsze biała, była jak gdyby zbląkaną. Odjazd

ten nabawił ją trochę smutku. Kładł jej przed oczy niestałość otoczenia, ciągłą zmianę, jaka się w życiu toczy. Odjazd tego miłego gospodarza uczynił jej odjazd możebniejszym, niż przedtem, i nawet bardziej prawdopodobnym. Przez umysł jej przemknęły słowa Pisma Świętego: „Tutaj nie mamy grodu stałego“. W ciemności milczącej zwrot ten nastroczał smutek niewysłowny. Wieczysta doczasność wszystkich rzeczy stworzonych stłoczyła jej serce.

Zapiąwszy zakiet i włożywszy rękawiczki, zbliżyła się do okna i odemknęła okienicę. Błada półciemność wyjrzała ku niej. Znowu obaczyła, czy nie nadszedł Batucz. Zdało się jej to niepodobieństwem. Nie mogła sobie wyobrazić, by ktokolwiek na całym świecie dzwignął się i był pełen zamierzeń prócz niej. Godzina ta zdała się być stworzoną, jako zasłona dla nieświadomości.

Zeszła pocichu na werendę i wyjrzała przez poręcz. Mogła była widzieć w dole białą drogę — białą tajemniczo. Była ona opuszczoną. Wychyliła się na dół.

— Batucz! — zawołała po ciuchu.—Batucz!

Mógł być ukryty pod arkadą, w swym burnusie.

— Batucz! Batucz!

Nie było odpowiedzi. Stała u poręczy, oczekując i patrząc w dół na drogę.

Wszystkie gwiazdy już gaśły, nie było atoli jeszcze zapowiedzi słońca. Miała przed sobą obcość niemiłosierną. Przez chwilę myślała o tej atmosferze, o ciszy głębokiej, o tej powadze samotnych i cienistych drzew, jak okrąg dla tych, którzy błądzą, o duszach zgubionych ludzi, którzy zmarli w grzechu śmiertelnym. Była prawie przygotowaną na ujrzenie rozpaczego cienia swego zmarłego ojca — tu, pomiędzy czarnymi płamami od drzew palmowych, znikającego w szarej powłoce, która osnuwała świat ukryty.

— Batucz! Batucz!

Nie było go na dole. To było pewnem. Postanowiła udać się sama i powróciła do pokoju, żeby wziąć rewolwer.

DCN.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Polonica.

Pismo angielskie *The Mask*, poświęcone sprawom teatru, a wychodzące we Florencji pod redakcją znakomitego rysownika i reformatora sceny Gordona Craiga, — zamieściło w ostatnim zeszycie swoim początek dłuższego studjum p. t. „Nowy teatr w Polsce: Stanisław Wyspiański“ („The new theatre in Poland“). Autor tego studjum — poprzedzonego notatką biograficzną o Wyspiańskim — p. L. de Schildenfeld Schiller, nazywa teatr twórcy „Wesela“: świątynią duszy, kościołem wującym, trybunałem sumienia narodowego; ubolewa, że znakomitemu poecie nie było daniem, jak Wagnerowi, wnieść własnego teatru; wykazuje, że Wyspiański za wzór postawił sobie szekspirowską metodę twórczości polegającą na współpracownictwie z aktorami. Dalej następuje rozbiór dzieł mistrza, zaopatrzone w objaśnienia historyczne i literackie, konieczne dla czytelników, którym dzieje nasze są obce. Do artykułu dodane są ilustracje; winieta tytułowa artykułu, rysowana przez Gordona Craiga wyobraża widok Krakowa z Wawelem i kościołem Maryackim. Wizerunek Wyspiańskiego jest kopią z jego autoportretu, wreszcie znajdujemy dwa rysunki przedstawiające scenariusz z „Legendy“.

Z literatury niemieckiej.

× Rudolf Lothar. „W błękity“. („Die Farth ins Blau“). W zatarg małżeński pary niedostrojonej — narazie — wplótł Lothar niezwykle piękne obrazy starej Grecji, jej podaną i legend. „W błękity“ pojechał z artystką bohater, opuściwszy żonę; „w błękitach“ przebywała artystka, bawiąc się kochankiem, którego

niebawem porzuci dla innego; „w błękity“ wzniesli się małżonkowie, mniemając, że zdołają się porozumieć, niezwłocznie po powrocie męża z Hellady; „w błękitach“ pozostali, gdy po ciężkiej walce wewnętrznej połączyli się narażenie na nowo. Autor kreśli sceny barwnem piórem, postacie jego są z krwi i ciała, całej książce zaś nadał cechy, wysoce artystyczne.

Z literatury skandynawskiej.

× Karin Michaelis. „Betty-Roza“. Głośna już dziś powieściopisarka, autorka „Dziecka“ i „Pani Jonny“ — ma niejako przywilej pisania rzeczy awanturcznie nieprawdopodobnych, które jednakże, dzięki sile jej talentu, dzięki harmonii, jaką w rysunku postaci, z wyobraźni przeważnie czerpanych, umie zachować, nigdy nie wydają się czytelnikowi nieprawdziwymi. I tym razem bohaterka jej — Betty-Roza — jest stworzeniem osobliwym, wrażliwym, subtelnym obdarzonym uczuciem, a przechodzącym ciężkie, dziwne koleje losu. Córka grzechu, wychowana przez bogobojną ciotkę, nie unika swego przeznaczenia. W mieście, dokąd się przeniósł po śmierci opiekunki, spotyka człowieka, któremu oddaje serce, zyskuje jego wzajemność i ma zostać jego żoną. Narzeczoną, pastor, chce być gminie swojej wzorem i przewodnikiem. Ale obcy zupełnie mężczyzna gwałci przed ślubem Betty-Rozę, która nie zdradza tej zbrodni i milczy nawet wtedy, gdy, poślubiwszy pastora, czuje niebawem, że owa noc nieszczęsna nie pozostała bez skutku. Dziecko przychodzi na świat za wcześnie, pastor przekonywa się, że został oszukany; nie pyta jednak, nie złożyczy, tylko chce gminę swoją objaśnić, że to nie z jego stało się winy, bo

przedewszystkiem chodzi mu o to, by nie utraciła wiary w świętość jego apostołstwa. Zabrakło mu jednak sił do wykonania tego zamiaru, nie może odstąpić hańby żony, dzięki czemu odzyskuje ją samą. Betty-Roza wyznaje mężowi swój grzech i swoją niewinność — małżonkowie porozumiewają się nad kołyską dziecka człowieka obcego. Realistyczna obserwacja, silne sceny, wzruszająca prostota niejednej postaci składają się na całość niepospolitej wartości artystycznej.

TRZEŚ NUMERU 31-go.

Emilia Plater. Wacław Gąsiorowski.
Schwytna nimfa. Zofia Dębicka.
Spowiadam się... Wiktor Dzierżanowski.
Marzyciel. Władysław St. Reymont.
Atylla. A. Lange.
Samobójstwo poety. Zygm. Michałowski
Ogród Allaha. Robert Hichens.
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie; 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:

Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie